

Gustav Flaubert. "Pani Bovary"

Część 2, rozdział 9.

Upłynęło sześć tygodni. Rudolf się nie pojawiał. Wreszcie, pewnego wieczora, przyszedł.

Pomyślał sobie bowiem nazajutrz po Wystawie:

– Nie chodźmy tam za wcześnie, to byłby błąd.

I pod koniec tygodnia pojechał polować. Wróciwszy, uznał, że w rezultacie zrobiło się za późno, ale po paru dniach zmienił zdanie:

– Jeżeli zakochała się we mnie od razu, to tęskniąc za moim widokiem, pewno pokocha mnie bardziej. Poczekajmy jeszcze trochę!

I odkrył, że dobrze to wykombinował, gdy wchodząc do niej zobaczył jak blednie.

Była sama. Zapadał zmierzch. Muślinowe firaneczki na szybach zgęszczały mrok, a złocenia barometru, dotknięte promieniem słońca, nieciły w lustrze blaski wśród gałązek koralu.

Rudolf stał; Emma ledwo odpowiadała na jego powitalne grzeczności.

– Miałem różne sprawy – rzekł wreszcie. – I byłem chory.

– Ciężko? – wykrzyknęła.

– A więc będę szczerzy – rzekł Rudolf, siadając koło niej na taborecie – nie chciałem tu wracać.

– Dlaczego?

– Pani nie odgadła?

Znów na nią spojrzął, i to tak natarczywie, że spłoniona schyliła głowę.

– Emmo... – zaczął.

– No, wie pan! – rzuciła, odsuwając się nieco.

– Ach! sama pani widzi – mówił melancholijnie – że miałem słuszność, nie chcąc tutaj wracać, skoro odmawia mi pani praw do imienia, które przepętnia mą duszę i z niej się wyrwało!...

Pani Bovary!... Ha! Tak mówią na panią wszyscy! A czyż to pani nazwisko? Nie! to nazwisko innego!

Powtórzył:

– Innego!

I zakrył twarz dłońmi.

– To prawda! myślę o pani bez ustanku!... Obraz pani przywodzi mnie do rozpacz! Ach! wybaczyć!... Odchodzę... Żegnaj!... Odejdę daleko... tak daleko, że już pani o mnie nie usłyszy!...

Ale dziś... sam nie wiem, jaka siła popchnęła mnie ku pani! Któż zdoła odtrącić niebo, oprzeć się uśmiechowi aniołów! zniewala nas ich piękno, wdzięk, urok!

Nikt nie mówił jeszcze Emmie takich rzeczy i jej pycha, niczym dama w kąpieli, prężyła się leniwie w ciepłe tych słów.

– Ale chociaż tu nie wracałem – ciągnął – choć nie mogłem pani oglądać, to przecież poitem się tym, co panią otacza. Noc w noc wstawałem z łóżka, przychodziłem aż tu, wpatrywałem się w pani dom, w dach lśniący księżycem, w drzewa ogrodu rozkołysane przed pani oknem, w małą lampkę, płomyczek, co błyszczał za szybą wśród mroku. Ach! skąd mogła pani wiedzieć, że tak blisko, i tak daleko, czuwa biedny nieszczęśnik...

Spojrzała nań, wstrząsana szlochem:

– Jaki pan dobry! – szepnęła.

– O, nie! ja tylko panią kocham! Pani mi wierzy, prawda? Starczy mi słowo! Jedno jedyne słowo!

I Rudolf ukradkiem zsunął się z taboretu na podłogę; lecz z kuchni dobiegł stuk sabotów, a drzwi jadalni, co właśnie zauważył, były niedomknięte.

– Wielką okazałaby mi pani łaskę – kontynuował, podnosząc się z kolan – spełniając moje ciche marzenie!

Chciał obejrzyć jej dom; pragnął go poznać; pani Bovary nie widziała w tym nic zdrożnego, oboje wstawali, kiedy wszedł Karol.

– Dzień dobry, panie doktorze – przywitał go Rudolf.

Lekarz, połączony tym nieoczekiwanym tytułem, rozplątał się w grzecznościach, co gościowi pozwoliło ochłonąć.

– Rozmawialiśmy właśnie z panią – rozpoczął – o jej zdrowiu...

Karol nie dał mu skończyć; w samej rzeczy, wielce się nim niepokoił; żonie wracały duszności. Wtedy Rudolf zapytał, czy nie wzmocniłyby jej konne spacerki.

– Ależ tak! Oczywiście! Niewątpliwie!... Świetny pomysł! Powinnaś spróbować.

A gdy odparła, że przecież nie ma konia, pan Rudolf ofiarował się przyprowadzić; odmówiła; nie nalegał; potem, by uzasadnić swą wizytę, wspomniał o woźnicy, mimo puszczenia krwi miewał zawroty głowy.

– Zajrzę do niego – rzekł Bovary.

– Nie, nie, przyślę go tutaj; przyjdziemy obaj, tak panu będzie wygodniej.

– I owszem. Dziękuję.

A potem, kiedy zostali sami:

– Pan Boulanger bardzo był uprzejmy, czemu nie przyjąłś jego propozycji?

Nadąsała się, mnożyła wymówki, aż w końcu oświadczyła, że ludziom mogłoby się to wydać dziwne.

– Kpię sobie z ludzi! – rzekł Karol, okręcając się na pięcie. – Zdrowie przede wszystkim! Nie, nie masz racji!*

– Lepiej powiedz, jak mam jeździć konno, skoro nie mam amazonki?

– Każ sobie uszyć!

Amazonka ją skusiła*.

Kiedy strój był gotów, Karol napisał do pana Boulangera, że małżonka jest do jego dyspozycji i oboje będą mu wdzięczni za przysługę.

Nazajutrz o południu Rudolf przybył pod dom Karola z parą wierzchowych koni. Jeden miał różowe pompony przy uszach i damskie zamszowe siodło.

Rudolf włożył miękkie buty z cholewami poza kolana, przypuszczając, że nigdy takich nie widziała; i rzeczywiście oczarował ją swym wyglądem, gdy zjawił się na progu w wytwornym aksamitnym fraku i białych trykotowych spodniach. Była gotowa. Czekwała na niego.

Justyn wymknął się z apteki, by ją zobaczyć, pofatygował się też farmaceuta. Udzielał panu Boulangerowi wskazówek.

– O nieszczęście nietrudno! Bądźcie państwo ostrożni! A nuż pańskie konie poniosą!

Usłyszała stukanie nad głową; to Felicjta pukała w szybę, aby zabawić małą Bertę. Dziecko przesłało z góry całusa; matka w odpowiedzi machnęła mu gałką szpicruty*.

– Miłej przejażdżki! – zawołał pan Homais. – Byle ostrożnie! Ostrożnie!

I odprowadzał ich wzrokiem, powiewając gazetką.

Poczuwszy pod nogami ziemię, koń Emmy przeszedł w galop. Rudolf galopował obok.

Co chwila wymieniali kilka słów. Z głową nieco pochyloną, dłonią wysoko i lekko ugiętym prawym ramieniem, poddawała się rytmowi konia kołyszącego ją w siodle.

U stóp wzniesienia Rudolf popuścił wodze; ruszyli razem z kopyta; potem, na szczycie, konie stanęły nagle i jej wielki niebieski woal znów opadł.

Był początek października. Nad polami zaległy opary. Na horyzoncie wśród wzgórz wisiała mgła; bliżej rwała się, podnosiła, rzedła. Kiedy się czasem rozstąpiła, w dole widać było oblane słońcem dachy Yonville, nadrzeczne ogrody, podwórka, murki, wieżę kościelną. Emma mrużyła oczy, by odszukać swój dom, jej małe miasteczko jakby się jeszcze skurczyło.

Ze skarpy, gdzie stali, cała dolina zdawała się ogromnym, bladym parującym jeziorem.

Porozrzucane tu i tam kępy drzew sterczały niczym czarne złomy skał, a sięgające nad mgłę szczyty wysokich topoli kołysały się z wiatrem jak przybrzeżne fale.

Obok, na poszyciu pod jodłami, w ciepłym powietrzu drgało rdzawe światło. Ziemia, brunatna jak tabaka, głużyła odgłosy kopyt; konie roztrącały podkowami opadłe szyszki.

Rudolf i Emma jechali skrajem lasu. Niekiedy odwracała twarz, by uniknąć jego spojrzenia, i wtedy widziała tylko kolumnadę jodeł, których jednostajne następstwo budziło lekki zawrót głowy. Konie dyszały. Skóra siodła skrzypiała.

Kiedy wjeżdżali w las, pokazało się słońce.

– Bóg ma nad nami pieczę! – rzekł Rudolf.

– Tak pan sądzi? – spytała.

– Naprzód! naprzód! – wykrzyknął.

Cmoknął i wierzchowce pobiegły.

Wysokie przydrożne paprocie wplatały się w strzemię Emmy. Rudolf, nie zwalniając, pochylał się, by je wywlec. Raz po raz wyprzedzał ją i rozsuwał gałęzie, a Emma czuła jego kolano muskające jej nogę. Niebo się rozjaśniło. Liście znieruchomiały. Mijali wielkie polany kwitnących wrzosów; fioletowe dywany przeplatały się z zaroślami, którym listowie nadawało szarą, płową albo złocistą barwę. Spod krzaków dochodził często urwany trzepot skrzydeł lub ciepłe, ochryple krakanie wron, odfruwających na dęby.

Zeskoczyli na ziemię. Rudolf przywiązał konie. Szła przed nim po mchu między koleinami.

Zbyt długa spódnica krępowała jej ruchy, choć ogon podtrzymywała ręką; idący z tyłu Rudolf kontemplował wykwint białej pończoszki, zdającej mu się kawałeczkiem nagości pomiędzy czarnym sukniem a czarnym bucikiem.

Przystanęła:

– Zmęczyłam się.

– Jeszcze mały wysiłek! – namawiał. – Trzeba być dzielną!

Po stu krokach zatrzymała się znowu; w niebieskawym przeźroczu woalu, spadającego skosem z cylinderka na biodro, widać było twarz, zdającą się płynąć pośród fal błękitu.

– Dokąd tak idziemy?

Nie odpowiedział. Łapała oddech. Rudolf rozglądał się dokoła i przygryzał wąsik.

Wyszli na niewielką porębę. Siedli na powalonym pniu i Rudolf jął mówić o swej miłości.

Nie chcąc jej splotyć, unikał na razie komplementów. Był łagodny, poważny, melancholijny.

Emma słuchała ze spuszczoną głową, rozgrzebując czubkiem buta leżące na ziemi wióry.

Ale kiedy spytał:

– Bo czyż nasze losy już się nie splotły?

– O, bynajmniej! – odparła. – Przecież pan wie. To niemożliwe.

Wstała, by odejść. Chwycił jej nadgarstek. Została. Patrzyła nań chwilę zwilgłym

i rozkochanym wzrokiem, a potem powiedziała żywo:

– Wie pan co, nie mówmy już o tym więcej... Gdzie konie? Wracajmy.

Gestem zdradził niesmak i złość. Powtórzyła:

– Gdzie konie? Gdzie są nasze konie?

Wtedy, z dziwnym uśmiechem, oczyma w słup i zaciśniętymi zębami ruszył ku niej, otwierając ramiona. Cofnęła się drżąc. Wykrztusiła:

– Boję się pana! To boli! Jedźmy już stąd.

– Skoro tak trzeba! – odparł, zmieniając wyraz twarzy.

I znów zrobił się miły, układny, nieśmiały. Podała mu ramię. Wracali. Rudolf mówił:

– Co się z panią dzieje? Dlaczego? Nie pojmuję. Czy pani mnie dobrze rozumiała? Bo przecież w mojej duszy pani ma miejsce najwyższe, bezpieczne i niepokalane, niczym madonna na piedestale. Ale ja żyć nie mogę bez pani! Potrzeba mi pani oczu, pani głosu, pani myśli. O! bądź mi przyjaciółką, siostrą i aniołem!

I wyciągnął rękę, obejmując ją w talii. Próbowwała się wywinąć, delikatnie. Nie puścił jej i tak szli dalej.

Niebawem usłyszeli konie szczypiące liście.

– Jeszcze chwilę – prosił Rudolf. – Nie jedźmy! Zostań!

Poprowadził ją dalej, wokół małego stawku, zielonego od rzęsy. Wśród sitowia tkwiły nieruchomo zwiędłe nenufary. Na szelest kroków w trawie żaby jednym susem kryły się do wody.

– Źle robię, źle robię – mówiła. – Chyba oszalałam, że pana słucham.

– Dlaczego?... Emmo! Emmo!

– Och! Rudolfie!... – wyszeptwała powoli, kładąc głowę na jego ramieniu.

Sukno jej amazonki czepiało się aksamitu fraka. Odrzuciła w tył białą szyję, nabrzmiewając westchnieniem, i słabnąca, we łzach, w dreszczach, zakrywając twarz, uległa.

Kładły się już cienie wieczoru; niskie słońce, przesywając gałęzie, olśniewało jej oczy. Wokół niej, tu i tam, na liściach i ziemi, drżały świetlne plamki, jakby kolibry pogubiły w locie pióra.

W krąg trwała cisza; jakaś słodycz zdawała się prószyć z drzew; czuła powracające bicie serca i krew drażącą jej ciało niby mleczna rzeka. Nagle z oddali, zza lasu, z innych wzgórz, dobiegł ją jakiś krzyk*, nieuchwytny i monotony, niosło się ku niej jakieś przeciągłe wołanie; w milczeniu słuchała tego głosu, wplatał się jak melodia w pogłos rozdygotanych nerwów.

Rudolf, z cygarem w zębach, naprawiał scyzorykiem zerwaną wodzę.

Wracali do Yonville tą samą drogą. W błocie widzieli zgodne ślady swych koni, te same krzaki, te same kamienie w trawie. Nic się dokoła nie zmieniło; a jednak dla niej zdarzyło się więcej, niż gdyby wzgórze opuściły swe miejsce. Rudolf schylał się od czasu do czasu i brał jej dłoń do pocałowania.

Pięknie wyglądała na koniu. Wyprostowana, szczupła, z ugiętym kolaniem na grzywie, zaróżowiona od świeżego powietrza, w czerwieni wieczoru.

Wjeżdżając do Yonville, z fantazją zatoczyła koniem po bruku. Patrzone na nią z okien. Przy kolacji mąż pochwalił jej zdrowy wygląd, ale gdy spytał, czy przejażdżka była udana, zdawała się go nie słyszeć; siedziała z łokciami przy talerzu, między dwiema płonącymi świecami.

– Emmo! – powiedział.

– Cóż znowu?

– Wiesz, zajrzałem dziś po południu do pana Alexandre’a; ma starszawą klaczkę, jeszcze całkiem ładną, tylko troszkę oblażłą; oddałby ją pewno za jakie trzysta franków...

I dodał:

– Pomyślałem sobie, że by cię ucieszyła, więc ją zadatkowałem... właściwie kupiłem... Dobrze się spisałem? No, powiedz coś.

Twierdząco skinęła głową; a po kwadransie spytała:

– Wychodzisz wieczorem?

– Tak, bo co?

– Nic, nic, mój drogi.

I ledwie Karol się wyniósł, poszła na górę, zamknąć się w swoim pokoju.

Z początku dostała jakby zawrotu głowy; widziała drzewa, drogi, rowy, Rudolfa i wciąż jeszcze czuła jego uścisk, wciąż drżały liście, świszcząły trzciny.

Spojrzawszy przypadkiem w lustro, nie poznała swojej twarzy. Nigdy przedtem nie miała tak wielkich oczu, tak czarnych i tak głębokich. Przepajało ją coś subtelnego, przemieniając całą jej postać.

Mówiła sobie: „Mam kochanka! Mam kochanka!”, rozkoszując się tą myślą, słodką jak wtóre pokwitanie. A więc nareszcie miała zaznać rozkoszy miłości, dreszczy szczęścia, których nadzieję już pogrzebała. Wchodziła w cudowną krainę, gdzie wszystko będzie namiętnością, ekstazą, uniesieniem; otaczał ją lazurowy bezkres, myśl wlatywała nad roziskrzone szczyty uczuć, a życie powszednie prześwitywało gdzieś daleko i nisko, w mrocznych dolinach u stóp tych wyżyn.

I wtedy przypomniała sobie bohaterki czytanych niegdyś powieści, liryczna procesja cudzołożnic rozśpiewała się w jej pamięci, czarując ją chórem siostrzanych głosów. Teraz ona sama była jedną z tych złud, lecz żywą – spełniając dawne dziewczęce marzenia, powiększyła grono wielkich miłośnic, którym tak zazdrościła. Czuła rozkosz zemsty. Czyż nie dosyć się wycierpiała? I wreszcie nadeszła chwila tryumfu: miłość, powściągana tak długo, buchnęła radosną kaskadą. Syciła się nią bez wyrzutów, bez niepokojów, bez wstydu.

Następny dzień przyniósł nowe słodycze. Złożyli sobie przysięgę. Potem zwierzyła mu swoje smutki. Rudolf przerywał jej pocałunkami; ona, patrząc nań spod przymkniętych powiek,

prosiła, by powtarzał jej imię i mówił, że ją kocha. Znów byli w lesie, w szałasie sabotników. Ściany miał ze słomy, a dach schodził tak nisko, że się musieli pochylić. Siedzieli przytuleni do siebie na postaniu z zeschniętych liści.

Od tego dnia pisywali do siebie co wieczór. Emma zanosila list na koniec ogrodu, nad rzekę i chowała w szczeliny muru. Rudolf przychodził go zabrać i zostawiał swój, dla niej zawsze za krótki.

Pewnego ranka, gdy Karol wyjechał przed świtem, przyszła jej nagle chęć natychmiast ujrzeć Rudolfa. Mogłaby pobiec szybko do La Huchette, zostać tam godzinę i wrócić do Yonville, nim ktokolwiek się zbudzi. Na tę myśl pożądanie przyśpieszyło jej oddech, a po chwili była już na łące i szła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

Powoli wstawał dzień. Emma z daleka rozpoznała dom swego kochanka: dwie chorągiewki dachu, wycięte w jaskółczy ogon, rysowały się czarno na bladym niebie.

Za gumnem wznosił się korpus pałacu, tam musiał mieszkać. Weszła do środka, jakby ściany same się przed nią rozstały. Szerokie, proste schody zawiodły ją na korytarz. Nacisnęła klamkę przy jakichś drzwiach i nagle w głębi pokoju ujrzała śpiącego mężczyznę. Był to Rudolf. Krzyknęła głośno.

– To ty! to ty! – powtarzał. – Jak wyrwałaś się z domu?... Ach! Suknię masz całą w rosie!

– Kocham cię! – odparła, zarzucając mu ramiona na szyję.

A że udało jej się pierwszym razem, odtąd ilekroć Karol wyjeżdżał wcześniej, Emma ubierała się szybko i cichcem zbiegała po schodkach nad wodę.

Jeśli krowia kładka była zdjeta, musiała iść wzdłuż rzeki, pod murami ogrodów; brzeg był śliski, aby nie upaść, chwyciła za zwiędłe kępy złotych fiołków. Potem brnęła na przełaj przez zaorane pola, potykała się, grzęzła, błociła cienkie buciki. Na łąkach wiatr szarpał zawiązaną na głowie chustkę; bała się bydła, ruszała pędem; przybiegała zdyszana, z różowymi policzkami, całą pachnąca roślinnym sokiem, zielonością i otwartą przestrzenią. Rudolf spał jeszcze o tej porze. Wpadała do jego pokoju jak wiosenny poranek.

Żółte firanki w oknach sączyły ciężkie miodowe światło. Emma szła po omacku, mrużąc oczy, a uczone jej czarnych włosów krople rosy błyszcząły wokół twarzy jak aureola z topazów. Rudolf, roześmiany, przyciągał ją do siebie i przyciskał do serca.

Potem oglądała sypialnię, wyciągała szuflady, czesała się jego grzebieniem, przeglądała w lusterku do golenia. Czasami brała nawet do ust cybuch wielkiej fajki leżącej na nocnym stoliku między cytrynami i kawałkami cukru przy karafce z wodą.

Pożegnanie zajmowało co najmniej kwadrans. Emma wtedy płakała; chciała się z nim nigdy nie rozstawać. Coś silniejszego od niej wciąż popychało ją ku niemu, aż wreszcie któregoś dnia, kiedy zjawiała się niespodzianie, Rudolf zmarszczył brwi jakby w rozdrażnieniu.

– Co się z tobą dzieje? – spytała. – Boli cię coś? Powiedz!

Wtedy oświadczył z powagą, że jej wizyty stają się ryzykowne, że się kompromituje.